

Rudniewska-Ściobłowska, Wanda

W poszukiwaniu zagubionego czasu

Przegląd Pruszkowski nr 2, 32-37

1995

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

W poszukiwaniu zagubionego czasu



Wanda Rudniewska - Ściobłowska

Od dnia urodzenia w 1927 r. do 10 lipca 1945 r. przeżyłam dobre dzieciństwo i wczesną młodość w Pruszkowie. Potem rodzice podjęli decyzję wyjazdu na Ziemię zwane wówczas odzyskanymi i tak urwał się mój kontakt z Pruszkowem na równe 50 lat. Myślą przebywałam w nim często, ale nie fizycznie. Dopiero teraz, pod wpływem wewnętrznego impulsu postanowiłam nie odkładać zamierzonego spotkania z Pruszkowem. Skłoniło mnie do tego również serdeczne zaproszenie mojej koleżanki z tamtych lat - Teresy Jędrzejewskiej Żaczyńskiej. Przypomnę się pruszkowianom. Mieszkałam przy ul. Stalowej 5. Ojciec mój był pracownikiem Warszawskiej Dwójki (poczty). Miałam dwóch, niewiele

ode mnie starszych, braci - Kazimierza i Roberta. Obaj, niestety, już nie żyją.

Chodziłam do Szkoły Powszechnej im. hetmana Stanisława Żółkiewskiego, gdzie kierownikiem był przezacny, trochę ucharakteryzowany na Sienkiewicza p. Sauter. Religii w szkole uczył mnie najpierw ks. Bujalski, a potem ks. Skrzecz. W czasie okupacji ukończyłam 2-letnią szkołę handlową, a trzecią klasę gimnazjum ogólnokształcącego u Sióstr Niepokalanek na Żbikowie, które znalazły tam przystań po utracie macierzystej siedziby na wschodzie Polski. Małą maturę uzyskałam już w Gimnazjum im. Tomasza Zana w Pruszkowie, latem 1945 r.

Wyliczam wprawdzie te informacje jednym tchem, ale dla mnie jest w nich wiele obrazów i treści. Najbardziej utkwiła mi w pamięci atmosfera pierwszych dni zakończenia wojny i odzyskania niepodległości. Znaleźliśmy się powtórnie na mapie świata i to dawało nam autentyczną satysfakcję, niezależnie od warunków i nowych układów, w jakich nam później wypadło żyć.

Pamiętam atmosferę Pruszkowa przed- i wojennych lat. Jak w niewielkiej gminie, prawie wszyscy się znali, a przynajmniej wiedzieli kim kto jest. Dawało to poczucie mocnego zakotwiczenia w środowisku i silne oparcie dla AK w czasie okupacji. Nie pamiętam, aby były denuncjacje, donosy. Dla wszystkich oczywisty był, poza egzystencją, nadrzędny cel - uwolnić się od okupanta. Każdy postępował jak patriota oddany Ojczyźnie. I na tym polegała oczywista integracja.

Mój brat Kazimierz należał do AK, walczył w Powstaniu w Rejonie BGK w Alejach Jerozolimskich, później w ruinach domów przy Nowogrodzkiej. Uciekł z konwoju w Ożarowie i polami przedostał się do Pruszkowa. Wyglądał niesamowicie - twarz miał poszarzałą, opuchniętą z głodu. Robert również należał do AK, ale w okręgu radomskim, gdzie przebywał na wsi u stryja. Po wojnie został odznaczony przez emigracyjny rząd londyński za działalność w AK. Życiorysy obu braci były krótkie - Kazimierz umarł mając raptem 39 lat, Robert żył 56 lat, był adwokatem. Jego ostatnią posługą obrończą było reprezentowanie górników śląskich podczas procesów w latach 80-82.

Wojna była dla nas ciężkim doświadczeniem - dumny naród został sprowadzony do roli podległej, służebnej, Ja w tym okresie kończyłam dzieciństwo i wchodziłam w pierwszą fazę młodości, kiedy wszystko przeżywa się intensywnie - związki przyjaźni, miłość; wspominając to po latach mówię, chyba nie bez racji: to były piękne dni ...

A potem nadszedł pamiętny dzień - 17 stycznia 1945 r. - uderzenie i przełamanie frontu na Wiśle i Pilicy. Na nasze ziemie wkroczyły wojska polskie i rosyjskie. Niemców zobaczyłam jeszcze w lokalnych potyczkach, kiedy łamała się linia frontu, a potem był już tylko niekończący się pochód wojsk rosyjskich. To "nowe", które przyszło wraz z nim, było bardzo dziwne i niezrozumiałe dla mnie, ale interesujące, jako jeszcze jedno oblicze poznawanego świata. Najpierw była euforia z powodu zakończenia wojny i przegonienia Niemców, a potem ja i moi bliscy ujrżeli, że oficjalnie trzeba akceptować przedziwną propagandę społeczną i polityczną. Jeszcze trochę, a usłyszeliśmy, że żyjemy w zacofanym, przestarzałym ustroju, a nasi patrioci, akowcy, to bandyci i słudzy międzynarodowego imperializmu. Powoli zaczęły się zmieniać układy międzyludzkie. Donos nie był już czymś tak oczywiście wstrętnym jak za okupacji. Nierozważnie wypowiedziane słowa często wracały do nas z dławiającą siłą, powodowały relegowanie z posady lub uczelni. Zaczęliśmy zamykać się w sobie i jak pogański bożek mieliśmy kilka twarzy: dla domu, grona przyjaciół, znajomych i w miejscu pracy. Pomiędzy osiadłą z dawna ludność napłynęło wielu obywateli, nie zawsze wiadomo skąd i z jakim rodowodem, a wielu z tych, co zostali przeszkoleni w Rosji i spłynęli w nasze granice z armią ze wschodu, skutecznie pomogło nowej władzy nałożyć ludności kaganiec.

Tak pamiętam te przełomowe czasy. Przedziwna, niezrozumiała propaganda haseł społecznych i politycznych i ruina egzystencji.

Warszawa - jedno zwalisko gruzów, uszkodzone tory kolejowe, elektrownia pruszkowska zniszczona i rozgrabiona, fabryki bez maszyn i urządzeń. Pruszków nadmiernie przeludniony, bo pozostało tu trochę uchodźców z Warszawy, przybyli nowi ze wschodnich terenów; głodno, chłodno i bez światła, a zarobki znikome. Nowa egzystencja niepewna i jeszcze nie ustalona.

Mój ojciec wrócił do swojej poprzedniej pracy ambulansera w Warszawskiej Dwójce. Początkowo chodził pieszo do Warszawy, gdyż tory kolejowe były uszkodzone. Trasy służbowe odbywał przewiewnymi wagonami towarowymi i pracował przy migotliwym świetle lampki naftowej wstrząsanej ruchem pociągu. I raptem olśnienie, z którego wynikły wszelkie dalsze zmiany w naszym życiu. Pojechał na Śląsk, do Katowic, a tam prawie normalnie - światło elektryczne, tramwaje. Po powrocie powiedział do Mamy: może pojedziemy na Śląsk lub na nowe tereny i jakoś po ludzku żyjemy? Ta propozycja zaowocowała wyjazdem do Głuszycy k. Wałbrzycha, gdzie ojciec został naczelnikiem urzędu pocztowego. Nie była to dobra zmiana dla rodziny, mimo że każde z nas znalazło dobre miejsce w życiu. Po pierwsze: klimat, w którym nie czuliśmy się dobrze, a matka straciła zdrowie, po drugie; duża odległość od ośrodków kształcenia, a byliśmy tuż przed rozpoczęciem studiów, po trzecie: zerwanie z ośrodkiem warszawskim, gdzie były nasze korzenie - rodzina, znajomości, przyjaźnie.



Robert Rudniewski z żoną i córeczkami. Miał wówczas około 35 lat
Od początku trzeba było dopracowywać się osobistego "pejzażu".

W nowym miejscu zamieszkania nikt nie wiedział kim jesteśmy, jaki nasz wojenny życiorys, osobiste zasługi. Czuliśmy się jak odcięci od pnia. Odczuwaliśmy zażenowanie, gdy trzeba było powoływać się na poprzednie związki, wystawić sobie cenzurki. Od po-

Oczywiście znaleźliśmy sobie miejsce w tym nowym świecie i to całkiem niezłe. Ukończyliśmy studia: Kazimierz inżynierskie, Robert prawnicze, ja ekonomiczne. Nie satysfakcjonowały mnie jednak moje studia, gdyż zawsze skłaniałam się ku humanistyce i znalazłam odskocznnię w specjalizacji stenogranicznej: biegle stenografowałam i uczyłam tego przedmiotu w policealnym studium, ponadto prowadziłam księgowość. Zająć i pieniędzy miałam dość.

Nie miałam czasu na jakieś odskocznie - wyjazdy, odwiedziny. Praca pracą poganiała, a urlop wykorzystywałam na regenerację sił i sprawy domowe.

Bywałam w Warszawie, skąd do Pruszkowa blisko, ale zawsze starałam się najpierw pociągiem wrócić do domu.

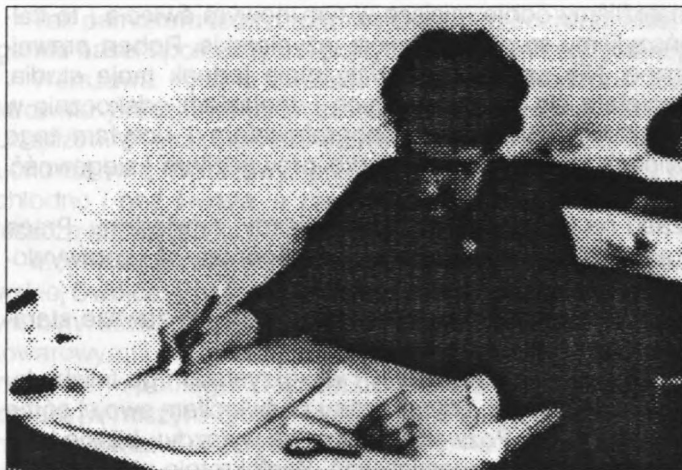
Z radością powitałam okres emerytalny i wykorzystałam go trochę ku swojej własnej, osobistej radości. Więcej czasu poświęciłam swojej córce i wnuczce, dalszej rodzinie. Pozwoliłam sobie na wyjazdy - bliskie i dalekie. Odetchnęłam, zaczęłam rozpamiętywać. Wielokrotnie pisałam pod dawne adresy pruszkowskie, ale z wyjątkiem Tereni Jędrzejewskiej Zaczaryńskiej w Malichach, adresatki pozmiały nazwiska i mieszkania. Nie otrzymywałam ani zwrotów korespondencji ani odpowiedzi.

I wreszcie przyszedł taki czas, że zrozumiałam: jeśli nie pojedę teraz do Pruszkowa, może już nigdy więcej nie będę mogła tego dokonać. Z każdym rokiem kondycja fizyczna nie poprawia się, a wręcz przeciwnie. Środki finansowe także się kurczą. Powiedziałam sobie: teraz albo nigdy (oczywiście z akcentem na "teraz"). Skorzystałam z serdecznego zaproszenia Tereni Jędrzejewskiej Zaczaryńskiej i przyjechałam do Pruszkowa. Było to równo w 50-lecie wyjazdu.

Terenię zastałam w znakomitej formie, starałyśmy się w krótkim czasie zasypać lukę tych pięćdziesięciu lat mojej nieobecności i prowadziłyśmy długie, do późnej nocy ciągnące się rozmowy, ale to wszystko było tylko wierzchołkiem góry.

Potem wyprawiłam się w miasto w poszukiwanie straconego czasu. Dobrze miałam zakodowane w pamięci główne trasy, ulice, parki, kościoły i budynki. Chodziłam po mieście jak po czymś własnym, dawno zagubionym. I wszystko było mi tu miłe i ładniejsze niż zapamiętałam. Piękne pruszkowskie lipy nabrały dostojności. Przyjechałam w okresie ich kwitnienia.

Zacząłam od kościoła - z tymi samymi, ale spotężnialymi lipami, gładkimi trawnikami i porządnym ogrodzeniem. Zaiste, miły to był widok. A w środku zaskoczenie. Kościół długo był bez wewnętrznego blasku, gdyż brakowało pieniędzy na wykończenie. W czasie wojny zbudowano główny ołtarz. Moja pamięć zachowała fakt, że fundatorami (może jedynymi?) byli pp. Majewscy. Teraz wnętrze błyszczało starannie odnowione z marmuro-



1970. Wanda Ściobłowska na Ogólnopolskim Konkursie Stenografii we Wrocławiu. (Odtwarzanie tekstu ze stenogramu)

wą posadzką, nową amboną i ołtarzem po lewej stronie. Całość szalenie zadbana. Z radością dowiedziałam się, że mój prefekt, ks. Emilian Skrzecz żyje jeszcze, ale gdzieś poza Pruszkowem.

Szłam znajomymi sobie ulicami - Kraszewskiego i Pru-

sa, doszłam do skrzyżowania z Kościuszki i zabrakło mi tam figury Matki Bożej. Później dowiedziałam się, że zabrano ją do kościoła.

Pruszków ogromnie zyskał na przejrzystości i w układzie komunikacyjnym po zburzeniu wysokiego, ceglanego muru oddzielającego rezydencję hr. Potulickich, park i wielki staw od centrum miasta.

Piękna jest nowa arteria - ulica Kopernika, zasadzona lipami, równoległa do Kraszewskiego, nie przytłaczająca monotonią i betonem. Poszłam na ul. Drzymały, gdzie mieszkała towarzysza zabaw dziecińczych Renia Korzeniewska. Dom zamknięty, domofon, dzwoniłam pod zapamiętany numer, nikt się nie odezwał. Powiedziano mi potem, że Renia od paru lat nie żyje. Podjęłam dalszą penetrację - przez Park Sokoła do ul. Szopena. I tu szczęście mi dopisało, a jednocześnie zrozumiałam, dlaczego moje listy nie dochodziły (choć nie rozumiem, czemu nie było zwrotów?): zmieniono numerację na tym odcinku ulicy. Janeczka i Bożenka Karwowskie mieszkały kiedyś pod numerem ósmym, a teraz nie zmieniając domu, pod czternastym. Obie siostry przyjęły mnie nadzwyczaj serdecznie, jak kogoś bliskiego. Bynajmniej nie miałam odczucia, że jestem intruzem.

Spotkałam się także z Wandzią Chajęcką Hejnrich, która miała tragiczne przeżycia w związku z męczeńską śmiercią ojca i jej następstwami.

Od Janeczki Karwowskiej otrzymałam "Przegląd Pruszkowski" 2/1994. Zrobił na mnie duże wrażenie. Czulałam, jak wraca z powrotem czas zaginiony z całą intensywnością doznań. Większość występujących w "Przeglądzie" nazwisk jest mi znana i historie wydarzeń również. Zdążyłam to jeszcze wchłonąć przed wyjazdem w lipcu 45 roku.

Znałam Irenę Szymańską Horban (była w jednej klasie z moim bratem Robertem), Alinę Sławińską, Janinę Karwowską, Barbarę Majewską (oczywiście z widzenia, ale cały Pruszków znał tę piękną pannę), Tadeusza Ryttera, Ireneusza Szarka, Marię Donaj, dra Wolframa, p. Zofię Steffenową (moją nauczycielkę), rodzinę pp. Ostrowskich i innych.

Ten świat znanych mi ludzi, spraw, z całą mocą znów wrócił do mnie. Odczułam żal, że nie było mnie tu, gdy toczyło się powojenne życie. Tu wszystko było zrozumiałe i oczywiste, a kontakty proste. Wiadomo, kto kim był i jak współistniał z otoczeniem. W Pruszkowie życie i praca byłyby dalszą kontynuacją, rozwijaniem się w znanym środowisku. Straciłam to, aby odnaleźć się gdzie indziej, bez tej rodzinnej głębi. Zawsze uważałam, że w określeniu - korzenie, pochodzenie - tkwi hiperbola nie odpowiadająca rzeczywistym odczuciom. Teraz twierdę - jest to jeszcze jedno moje doświadczenie - że to nie przesada, ale istotny czynnik życia.

Doznałam tego, odbywając wędrowki po Pruszkowie - wstępując do kościołów, na cmentarze, dzwoniąc z poczty, przekraczając dawne i nowe arterie komunikacyjne. Czas się cofnął i odnalazłam czas dawno miniony, ale realny, który na pewno istniał. Wydawało mi się, że są ze mną moi Rodzice i Bracia, i wybieram się z nimi na spacer do Komorowa, na Ostoję, na niedzielną poranną mszę do kościoła, spotykam na ulicach, tak jak dawniej, znajomych, nauczycieli, koleżanki

Powietrze było to samo co dawniej - suche, lipcowe, pełne aromatów kwitnących drzew. Wspomnienia pozostały plastyczne, barwne, chociaż zmieniliśmy się my sami. Kwitnący niegdyś - dziewczęta i chłopcy - to dziś starsze osoby z dolegliwościami swojego wieku lub nie ma ich - są na zawsze nieobecni.

Posuwamy się na taśmie biologicznej, jakim jest czas i nasze miejsca - dawniej tych młodych i wspaniałych - zajmują nowe pokolenia i strumień życia nieustannie zmierza ku nowemu czasowi. Zostawiam tutaj po sobie sztafetę i uważam, że mogę dodatnio zbilansować swoje życie. To mi daje wewnętrzną pogodę.

Przekazuję za pośrednictwem "Przeglądu" serdeczne pozdrowienia pruszkowianom moich czasów. Keep smiling.